

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

7

(Ciąg dalszy).

Powtórzył cyfrę po kilka razy i dodał:

— Mów pan bez obawy... jestem przyjacielem pańskim... nalegam, gdyż chcę pana bronić, chcę pana ocalić... niech pan mówi... trzeba mówić!

Za każdym jego słowem wysiłek chorego stawał się widoczniejszym. Dźwignął się nagle na zesztyniałych rękach i zaczął bełkotać niezrozumiałe wyrazy, jak gdyby czynił próby wypowiedzenia czegoś, co przyćmiona wola jego wypowiedzieć pragnęła.

Całym naprężeniem swojej istoty pan Lenormand nasłuchiwał niewyraźnych dźwięków; czyhał na nie, chwytając je, jak zdobycz...

— Mów pan... mów... trzeba mówić... Widzi pan, ja jestem przyjacielem... ja znam cyfrę 813...

— 813... — powtórzył głos, słaby, jak dalekie echo.

Ale zaledwie chory wymówił te trzy liczby, a wzdrygnął się i wyraz okropnego lęku wykrzyknął mu twarz. Zamknął oczy, zachwiał się całym ciałem i nagle głowa jego opadła na poduszki.

— Umarł! — zawołał Gourel.

— Ależ nie!... nie!...

Pan Lenormand przyłożył rękę do piersi chorego.

— Ależ nie... nie... serce bije!

— Tak, serce bije... lepiej mu... — dodał po kilku minutach — tylko że już teraz nic z nim nie zrobimy. Nie będzie mówił.

— Trzeba będzie koniecznie...

— Nie, daj spokój, Gourel.

Wstał i pochylony, jak zwykle, podpierając się laską, zaczął chodzić po pokoju. Od czasu do czasu przystawał to przed oknem, to przed jakimś meblem i rozmyślał. Wreszcie zatrzymał się przed inspektorem i rzekł:

— Stuchaj Gourel, słuchaj dobrze. Ja odchodzę... Ty tu zostań.

— Dobrze, panie szefie.

— Powierzam ci go. Spi... zachowuj się cicho... nie dotykaj go... ale pilnuj go dobrze. Ten człowiek jest mi potrzebniejszy, niż wszelka władza, jaką rozporządzam.

— Głowę za niego odpowiadam, szefie.

Podczas gdy Gourel przygotowywał się do spędzenia nocy przy chorym, p. Lenormand wyszedł z pokoju, przeszedł do łoża, kazał trzem agentom pilnować domu, zakazał im kogokolwiek wypuścić — albo wpuścić bez należytego powodu — a zarządzając te wszystkie ostrożności, zabrał więźniów swoich na prefekturę policyjną.

.....

Nazajutrz rano o dziewiątej szef bezpieczeństwa, wróciwszy na ulicę Demours, zastał sędziego śledczego, który śledztwo rozpoczynał od łoża. Pan Formerie uradowany i przejęty swoim zadaniem rzekł do szefa, jak gdyby uwiadamił go o wypadku, w którym Lenormand nie brał żadnego udziału, on zaś, pan Formerie, odegrał poważną rolę:

— Mamy Lupina, mamy! Aniby pan nie przypuścił, jakie to robi wrażenie! O tem tylko wszyscy mówią. Lupin aresztowany! Lupin w więzieniu! Nareszcie mam swój odwet!

Nie odpowiadając mu wcale, Lenormand zagał jednego z agentów.

— Czy wszystko tu dobrze?

— Bardzo dobrze, panie szefie.

— Czy zanieśliście rano kawę inspektorowi Gourelowi?

— Tak, tylko że...

— Jakto? przecież kazałem zanieść!

— Zaniósłem kawę, szefie, tylko, że... napróżno dzwoniłem, inspektor Gourel wcale mi nie odpowiedział.

— To być nie może — zauważył sędzia śledczy.

Lenormand wzruszył ramionami i pobiegł do drzwi parterowego mieszkania. Poprzedniego wieczora odłączył klucz wchodowy z paku kluczy starej służącej. W towarzystwie pana Formerie wszedł spiesźnie i odrazu korytarzem służbowym przeszedł do pokoju chorego.

Przystanął nagle, jak w ziemię wryty.

— Ach! — zawołał pan Formerie. — Co to ma znaczyć? To dobre sobie!

Łóżko było próżne. Na krzeselku, zgięty w pół, z głową opartą o kolana, Gourel chrapał.

Była to gratka dla pana Formerie. Ocknąwszy się ze zdumienia, zawołał:

— Ależ on śpi, ten wzorowy sługa! Hm... drogi panie, i co pan na to? Spi tak smacznie, że jego więzień mógł się ulotnić, jak sen. Można mu jeszcze teraz powiedzieć „dobranoc“!

I nagle poważniejąc, dorzucił:

— Należy bardzo żałować, panie Lenormand, że pan większych ostrożności nie zarządził!

Szef nie słuchał. Milczący, przeszukując wzrokiem wszystkie zakątki pokoju, gniótł w ściśniętych palcach gałkę laski. Zbliżył się do łóżka i obejrzał je. Potem podszedł do okna. Okno było zamknięte. Zresztą okno to wychodziło na podwórko bez wyjścia.

— Bądź co bądź — zauważył pan Formerie — to wygląda na cud.

— Niema cudów.

— Phil! To już chyba cud wejść do pokoju szczelnie zamkniętego i porwać chorego tak, by nie słyszał agent, który go strzeże.

— Gourela uspieno zapomocą narkotyku.

— Widzę to przecież! Ale trzeba było dać mu ten narkotyk. Którędy tu weszli? I powtarzam, którądy wyszli?... Chorego nie przenosi się przez ściany... Gdyby były jakieś ślady... Cośkolwiek... A tu nic... Ja to nazywam cudem!

W godzinę potem obudził się Gourel. Nie mógł sobie niczego przypomnieć. Pamiętał tylko, że pił wodę z karafki, stojącej na nocnym stolczku, wpośród butelek z lekarstwami. Szukano karafki, szukano szklanki, z której pił. Nie znaleziono ich. I ubrania chorego nie było w pokoju. Jednakże przypięty szpilką do ściany był list — ten sławny list Arsena Lupin, który tegoż dnia jeszcze powtórzyły dzienniki i który taki pozyskał rozgłos.

List otwarty do p. Lenormand,
szefa bezpieczeństwa publicznego.

Kochany panie Lenormand!

„Trzeba zacząć od początku.

16 kwietnia jakieś indywiduum (proszę uważać, mówię indywiduum) wdarło się wraz ze swym współnikiem do pana Kesselbacha i wymusiło na nim klucz i tajemnicę jego żelaznego schowka. Nazajutrz znaleziono p. Kesselbacha, zamordowanego sztyletem, a w ślad za tem pierwszym morderstwem popełniono dwa drugie.

Na zasadzie biletu wizytowego, pozostawionego umyślnie przez owo indywiduum, *primo*, przypisano ten zabunek Arsenowi Lupin — *secundo*, Lupinowi zarzucano te trzy morderstwa.

Protestuję przeciwko tym dwóm fałszom.

Bystrość pańska sprostowała ten drugi fałsz; sam pan to przyznał, że Lupin nie morduje.

Jednakże zależy mi na publicznem sprostowaniu i pierwszego także: ja nie jestem tem indywiduum, które się wdarło do p. Kesselbacha. Tamten, z niedelikatnością, na którą uskarżam się przed wszystkimi uczciwymi ludźmi, przywłaszczył sobie moje imię i skompromitował mnie niezręcznością, oraz bardzo zawinioną lekkomyślnością, z jaką wystawił na cios mordercy tego, którego miał zaszczyt obrabować. Rumieniłem się ze wstydu.

A oto wczoraj — herszt nieudolny — pozwala wpaść w pańskie ręce współpracownikom swoim, a moim niegdyś współnikom, których na własną ich zgubę skupił dookoła siebie. Na domiar wszystkiego złego sam siebie pozwala ująć pod moim nazwiskiem — pod nazwiskiem Arsena Lupin! To już przechodzi granice. Nie do już dłużej spokojnie patrzeć nie mogę. Wychodzę tedy z ukrycia, wychylam się z tego zakątka, gdzie cztery lata przebywałem pomiędzy psem moim a memi książkami, zwołuję wszystkich przyjaciół moich i znowu rzucam się w wir walki.

Czynię to z tym większym zapałem, że sprawa Kesselbacha wydaje mi się pierwszorzędną i godną mojej uwagi. Przytem nęci mnie, panie Lenormand, nadzieja zmierzenia się z panem.

Na wstępie rozpoczynam od przywłaszczenia sobie imci pana Piotra Leduc. Dalej uprzedzam, że jako dawnych towarzyszy broni, za pięć tygodni, w piątek 31 maja wywiode na wolność rzekomego Arsena Lupin, Marka, Hieronima i starą służącą.

Proszę bardzo, niech mi pan daruje, drogi panie Lenormand, że ogłosię ten list w różnych dziennikach i niech pan raczy przyjąć hołd oddanego sobie *Arsena Lupin*“.

Rozdział III.

Książę Sernin przy pracy.

Automobil zatrzymał się w pośrodku lasu w Villorlay, na małej polance, położonej o jakie dwieście metrów w bok od drogi, prowadzącej z Paryża do Wersalu. Mechanik pozostał na koźle. Dwóch ludzi wysiadło, a jeden z nich zwrócił się do towarzysza swego i mechanika:

— Miejsce jest dobrze wybrane. Drzewa zastaniają nas od drogi, a nie jest prawdopodobnem, aby kto chodził po lesie.

— A zresztą — rzekł drugi — możeby źle wyszedł ten, ktoby nos wściłbiał w nasze sprawy.

— Tak, tak, ja wiem — mówił pierwszy — tobie zawsze. Hipolicie, bitwy się zachciewa. Ale nasz wódz bitwy mieć nie chce. Dziś rozkaz brzmi: przezorność i dyskrecja.

— Niech i tak będzie. Tylko jabym chciał dobrze rozumieć... A ty, Varnier, czy ty rozumiesz choć trochę, co te wszystkie korowody mogą znaczyć?

— Już ci ze dwadzieścia razy mówiłem, że i ja nic a nic nie rozumiem. Rozumiem dopiero, gdy już jest po wszystkim. Wtedy się wszystko wyjaśnia i wtedy wiem, co, jak i dlaczego. Przedtem nie rozumiem nic.

— Ani ja. Ale prawdę ci powiem — ja sobie z tego nie robię nic.

— Bardzo słusznie!

— A nic sobie z tego nie robię, ponieważ jestem pewien, że... że z naszym majstrem wszystko się zawsze dobrze skończy musi. Och, Varnier, jak on dobrze zrobił, że się znowu wziął do rzeczy i że nas zwołał! Na pierwszy dany znak rzuciłem wszystko i stanąłem przy nim.

— Jakie szczęście — rzekł Varnier — żeśmy nie posłuchali Hieronima i Marca!...

— A pewnie... spalibyśmy teraz na więziennej śłomie. A z naszym majstrem to człowiek spokojny... Choćbym miał gilotynę nad głową, spałbym spokojnie, jak w łóżku.

— No, to śpijże sobie spokojnie w powozie — rzekł, śmiejąc się, Varnier. — A jak się wyśpisz, pal sobie fajkę.

— I nic więcej?

— Aż do wpół do szóstej. O wpół do szóstej ty i Juliusz — zwrócił się do mechanika — wyjeżdżacie z lasu na główną drogę ku Paryżowi, mijacie Marnes i na czterysta metrów przed stacją Garches przed krata parku Villeneuve — halt! stój! Tam rozegra się wielka gra. Trzeba tam być punkt o szóstej... i trzeba pamiętać, że się porywa dwie damy, to jest jedną panienkę... tę już ja biorę na siebie... i wdowę po Kesselbachu.

— Ja z Juliuszem pochwycimy wdowę. Ale jeżeli ludzie byli na drodze? Co wtedy?

— To nic, brać je mimoto. Ludzie są zawsze odważni, kiedy już jest po wszystkim, kiedy już zapóźno. Na razie tracą głowę. A więc o szóstej punkt. Nie trzeba gasić motoru, Juliuszu! Rozumiecie chłopcy?

I Varnier, zapaliwszy papierosa, poszedł sobie z wolna drogą na lewo. W małą godzinę znalazł się w dominium Villeneuve. Dobra Villeneuve, choć pokawałkowana, zniszczona obecnie, zachowała dotąd ślady tej świetności, jaką się odznaczała za czasów, gdy przebywała tam cesarzowa Eugenia. Stare drzewa, staw, widok zieleni, jaki na horyzoncie roztacza park St. Cloud, wszystko to nadaje krajobrazowi piętno wdzięku i melancholii.

Znaczna część posiadłości podarowaną została instytutowi Pasteura. Mniejsza część, oddzielona od pierwszej całą przestrzenią, zarezerwowaną dla publiczności, tworzy posiadłość jeszcze wcale obszerną, otoczoną murem; wewnątrz wznosi się, dookoła głównego budynku, jeszcze kilka pawilonów oddzielnych.

Ładny ogród, pełen kwiatów i barwnych roślin, ściele się wzdłuż drogi. Nad bramą widnieje napis.

„Zacisze dla pań“.

— Wdowa po Kesselbachu tam mieszka — rzekł sam do siebie Varnier, rzuciwszy okiem i nie zatrzymując się. Co do panienki, niech sobie przypomnę... pierwsza uliczka na lewo, trzeci dom na prawo.

Nieco dalej przystanął i udając, że przygląda się przez szeroko otwartą żelazną bramę stawowi, drewnianemu mostkowi, przerzuconemu na wyspę, falistym trawnikom — badał rozkład wejścia, trolejarni i drogi. W dwie minuty później zawrócił na lewo. Trzeci dom po prawej ręce otoczony był płotem, z poza którego widać było podwórze, zasadzone drzewami, kilka klombów krzewów i długi dom biały. Po upływie jakiej godziny nagle wysypało się z domu kilkanaścioro dzieci i zaczęło ba